



Marcin Jacoby

nr 3/2020

Rasizm nasz codzienny

Rasizm nie zawsze przybiera formy poważnych zdarzeń, takich jak zabójstwa, pobicia czy bulwersujące wypowiedzi medialne polityków. Dla obcokrajowca mieszkającego w Polsce rasizm to często drobne incydenty, czasem pozornie niegodne nawet uwagi, które dopiero z biegiem czasu okazują się łączyć w jedną narrację społecznej wrogości w stosunku do „innego”.

Moją żonę, z pochodzenia Korkankę z Seulu, poznałem na stypendium językowym na Tajwanie. Było to równo 20 lat temu. Po dwuletniej znajomości zdecydowaliśmy się na dalsze wspólne życie razem i wybraliśmy, że osiadzimy na stałe w Polsce. Wydawała mi się wtedy krajem otwartym, miejscem, gdzie będziemy mogli być szczęśliwi. Dla żony było to zesłanie niemal do „trzeciego świata”, taka była przepaść pomiędzy dostatnią, innowacyjną i dynamiczną Koreą a naszym krajem, który dopiero przygotowywał się do wejścia do Unii: z dziurawymi drogami, psującymi się połączeniami telefonicznymi, ogólną biedą.

W naszej naiwności nie mieliśmy pojęcia, jak trudno będzie nam zbudować nasze życie w Polsce, którą dopiero u boku mojej żony zacząłem poznawać od nowej, mniej sympatycznej strony: kraju zaściankowego, nieprzyjaznego cudzoziemcom, pełnego stereotypów i głęboko tkwiących uprzedzeń dotyczących Azji i Azjatów.

Nie mam w zanadrzu żadnych mrozących krew w żyłach opowieści. Chciałem natomiast napisać trochę o trudnej codzienności obcokrajowca żyjącego w Polsce, który ma tego pecha, że wygląda inaczej, niż nasze piastowskie plemię.

Pierwszym problemem, z którym zetknęła się moja żona, było ciągle przedrzeźnianie jej zarówno przez dzieci, jak i przez dorosłych. Przeciętny Polak nie jest w stanie rozróżnić na podstawie fizjonomii Azjatów z różnych krajów. Koreańczyk, Japończyk, Chińczyk czy Wietnamczyk wydają się wszyscy tacy sami, a jako „chinole” albo „żółtki” mówią wszyscy „cing ciong”. Krzyczenie za przechodzącą ulicą Azjata „cing ciong” bawi i dzieci w przedszkolu, i dorosłych. Jako sinologa ciekawiło mnie, skąd się to wzięło, jako że sylaba „cing” nie występuje w ogóle w języku chińskim, ale gdy po raz kolejny moja żona wróciła do domu roztrzęsiona i wściekła, przestałem się interesować akademicką stroną jej doświadczeń z polskim rasizmem. To, co szokowało najbardziej, to brak społecznej reakcji na przedrzeźnianie, a nawet reakcja odwrotna do tej, jakiej w cywilizowanym kraju należałoby się spodziewać. Żona opowiadała mi o nauczycielkach na boisku szkolnym, które wtórowały przedrzeźniając ją dzieciom, paniach z grupą przedszkolaków w centrum Warszawy, które śmiały się razem ze swoimi słodkimi podopiecznymi krzyczącymi jej w twarz „cing ciong”, czy wreszcie grupie harcerzy w wielu licealnym, którzy podstawili jej nogę, a gdy upadła, odeszli rozbawieni – i żaden przechodzień nie wykonał w jej stronę żadnego przyjaznego gestu, nie mówiąc już o tym, żeby jej po prostu pomóc wstać z ziemi.

Drugim problemem była grupa pań po pięćdziesiątce, które wypychały żonę z kolejki w sklepie, prychały jej w twarz (to na szczęście było na długo przed pandemią), wyciągały jej z koszyka produkty, które uznały za zbyt atrakcyjne dla współklientki z Azji, czy w inny sposób próbowały pokazać, gdzie jest jej miejsce. Na początku żonie wydawało się, że jest to zwykłe chamstwo, ale szybko zauważyła, że inne osoby nie doświadczają tego typu sklepowej przemocy psychiczno-fizycznej.

Jawne i jednoznaczne przykłady rasistowskich wypowiedzi zdarzały się rzadziej, ale też na przestrzeni lat uzbierało się ich trochę. W podwarszawskiej miejscowości, w której przez parę lat mieszkaliśmy, parokrotnie mówiono mojej żonie, że nie ma prawa iść ulicą, która podobno „należała” do danej osoby, choć w rzeczywistości nie była drogą prywatną. Parę razy pytano ją, gdy była na spacerze z naszym psem, czy psy stanowią element jej codziennej diety. Raz usłyszeliśmy za plecami, że to skandal, żeby „Polak pierd... się z Chinką” i dopiero po paru sekundach doszło do mnie, że chodzi właśnie o nas.

Szybko nauczyliśmy się, że tego typu przykłady rasizmu nie wytrzymują konfrontacji. W sytuacjach, w których miałem szansę interweniować, moi interlokutorzy zapewniali mnie, że nie są rasistami. Identyfikowali rasizm jednoznacznie negatywnie, zaś swoje własne zachowanie uznawali za zupełnie poprawne, ewentualnie tłumaczyli mi, że o co innego im chodziło i że nie mają nic przeciwko Azjatom w Polsce. Gdy żona sama w zdecydowany sposób stawiała czoła rasistowskim przytykom, ludzie zazwyczaj również wycofywali się. Wielokrotnie mówiła mi, że kojarzyło się jej to ze światem zwierząt: wataha atakuje tylko pojedyncze, słabe ofiary, a gdy jakaś pokazuje zęby – wataha wycofuje się z podkulonymi ogonami. Rzadko kiedy dokuczały jej pojedyncze osoby, a jeśli tak, przestawały od razu, gdy ich działania spotykały się ze zdecydowaną reakcją. Najczęściej były to grupy jednostek, które właśnie w grupie i tylko w grupie czuły się pewnie i bezpiecznie. A zatem jej doświadczanie rasizmu powiązane było ściśle z tchórzostwem osób, które manifestowały swoją rzekomą wyższość cywilizacyjno-rasową.

Żona rozumiała, że ich zachowania wynikały z frustracji, własnych życiowych niepowodzeń, kompleksów, niewiedzy. A jednak zawsze sytuacje te głęboko ją raniły i pozostawiły w jej psychice trwałe ślady.